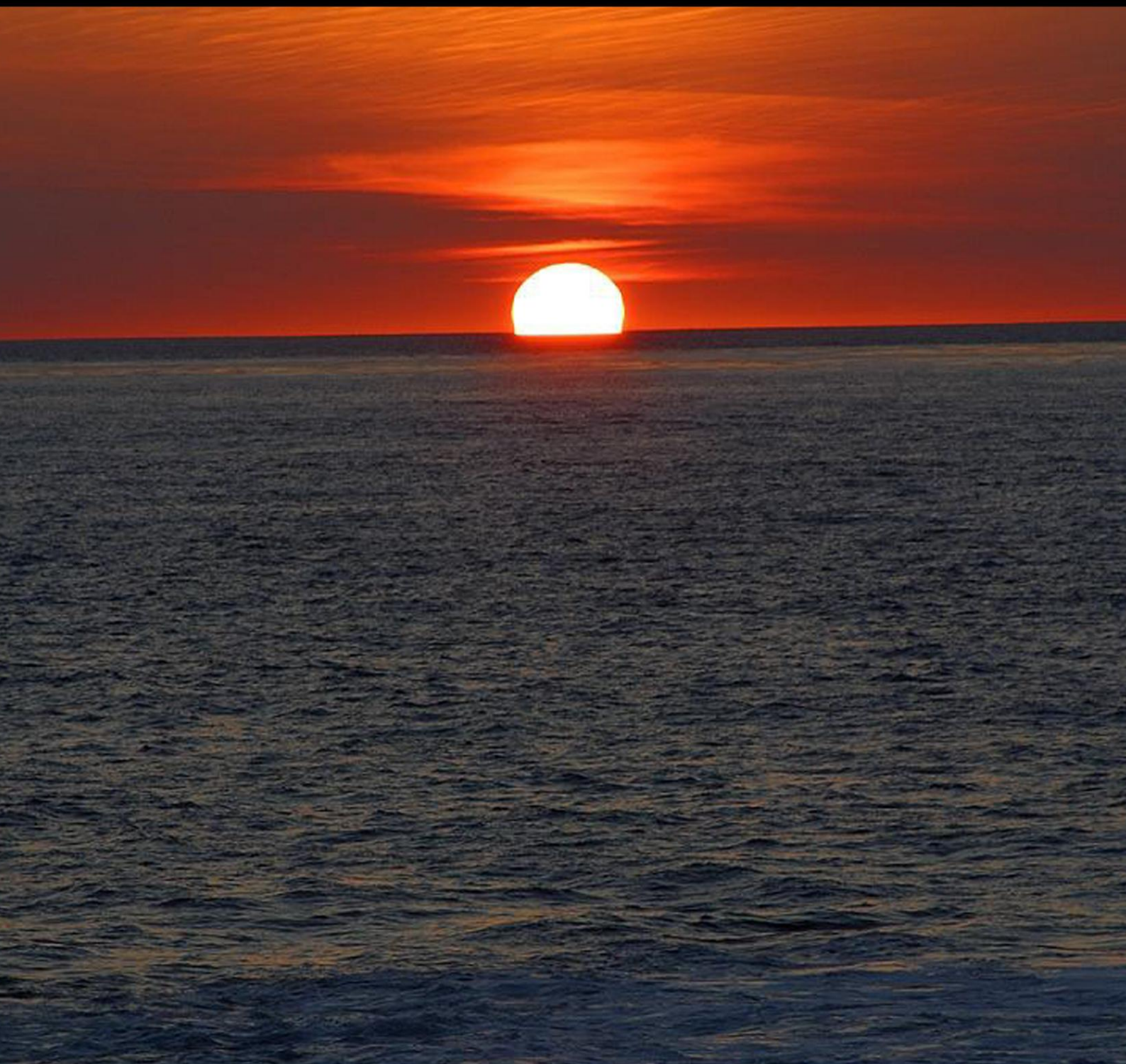


Krzysztof Cirkot



Wypatrując swego
PRZEZNACZENIA

Krzysztof Cirkot

**WYPATRUJĄC
SWEGO
PRZEZNACZENIA**

© Copyright by Krzysztof Cirkot & e-bookowo 2009

Projekt okładki: Krzysztof Cirkot

ISBN 978-83-61184-66-9

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2009

SPIS TREŚCI

Zdrajca	5
Najsilniejsze z uczuć	24
Glennen Yryath	55
Park	77
Balaton.....	83

ZDRAJCA

– Dokąd teraz? – wysapał Folino.

Biegli od dłuższego czasu, od kiedy czuły słuch arysty wyłowił dalekie rżenie konia. Mógł to być pościg, lub mogła to być także zwykła czujka – tak czy inaczej, z pewnością byli to wrogowie.

Stali na wydmie, zrogowaciałej od odłamów szaro-żółtej skały, czyhających niemal jak żywe drapieżniki na poruszenia piasku, by bezszelestnie i zajadle uderzyć w ofiarę, zadowolając się zwykle bolesnym kaleczeniem kostek. Byli na pograniczu. Po prawej, hen aż po horyzont, rozciągała się drgająca w gorącym powietrzu, rozgrzana jak piec pustynia Elek. Po lewej w oddali leżały Stepy Południowe z celem ich wędrówki, pasem twierdz zwanych Zębami Aguara, wzniesionych ongiś przez Bileartha Mężnego, by strzegły dawnych granic.

Arysta wskazał na ogromny głaz leżący o jakieś sto stóp od wydmy. Folino obejrzał się. Jeźdźcy wciąż pozostawali niewidoczni spoza szeregu wydm i skalnych nasypów, ale i on słyszał teraz wyraźnie parskanie koni i stukot podkutego kopyta o kamień. Tamten miał rację. Dalsza ucieczka nie miała sensu.

Zbiegli w dół po osypującym się zboczu z piaskiem zasysającym ich spieczone boscie stopy i ruszyli dalej biegiem. Folino próbował nadażyć za niezmordowanym arystą, ale wyczerpanie spowodowane odwodnieniem i nagłym, szaleńczym sprintem po wydmach spowalniało jego ruchy – czarne plamy tańczyły mu przed oczami, w ustach i płucach miał roztopione żelazo, a nogi ciążyły jak sztaby ołowiu.

Uciekali pieszo już drugi dzień. Konie padły im w potyczce, z której ocaleli tylko oni spośród wielkiej grupy uciekinierów zbiegłych z pogromu. Na wspomnienie klęski zrobiło mu się niedobrze, łzy stanęły w oczach. Ponownie miał przed nimi obraz bitwy, w której 35 tysięcy doborowego wojska ich królestwa pod wodzą sławnego hetmana Balemora dawało skuteczny odpór 120-tysięcznej armii najeźdźców ze sprzymierzonych Królestw Zachodnich. Wszystko toczyło się doskonale, gdy w decydującej fazie bitwy zdarzyło się coś, czego bezer nie chciał pamiętać, lecz obraz zdarzenia uparcie przesuwiał mu się przed oczami. Bezerowie – dwanaście tysięcy tarczowników, cała ciężka piechota armii, oraz cztery tysiące ciężkiej jazdy – przeszło na stronę wroga, rozdzierając zwarte dotąd szeregi.

Klęska była zupełna. Zdradzony Balemor zginął, walcząc do końca, zasieczony przez swoich żołnierzy. Straszliwą rzeź sprawiono arystom. Nieliczne niedobitki, ścigane i wycinane bezlitośnie, schroniły się na pustyni, gdzie oczekiwała ich śmierć z pragnienia. Niektórym być może udało się zbiec i nieśli ze sobą wieść o klęsce i zdradzie, siejąc popłoch i panikę. Pałac i mordując, wroga armia deptała im po piętach Stepami Południowymi, które rozciągały się wąskim przesmykiem pomiędzy pustynią Elek i Morzem Białym. Kraj ten był ubogi i zwycięzcy nie zabawią długo pustosząc go, śpiesząc dopóki panika jeszcze nie ostygła ku twierdzom Aguara, broniących dostępu do żyzniejszych krain.

Zdrada – smak tego słowa był jak żółć. Folino, podobnie jak garstka nielicznych nie brał w tym udziału, lecz czuł się odpowiedzialny. On, zawsze dumny ze swego pochodzenia członek plemienia Bezerów, teraz czuł wstyd za cały swój ród. Dobrze pamiętał noc poprzedzającą bitwę w obozie, kiedy dwóch kompanów z jego chorągwi zaproponowało mu złoto, by się do nich przyłączył. Wtedy pomyślał, że to głupi żart i kazał im iść precz, a gdy się odwrócił plecami otrzymał cios, po którym stracił przytomność. Po prostu nie docenił powagi sytuacji: armia zalegała z żołdem od wielu miesięcy i żołnierze byli gotowi słuchać każdego, byleby tylko zapłacił. Poza tym nienawiść plemienna, długi czas uśpiona, nie potrzebowała wiele, by znów zapłonąć gorącym ogniem. Szpiedzy królestw Zachodnich nie trwonili czasu – cały czas działali w obozie wśród zwykłego żołnierstwa, obiecując góry złota

i podsycając wrogość do arystów przypominając stare, jeszcze do końca nie zagojone rany i pretensje. Na dzień przed bitwą zamordowano dwóch oficerów, a ukaranie winnych przez wbicie na pal jeszcze pogorszyło sytuację. Nastroje te zlekceważono, co było błędem największym i zemściło się straszliwie.

Teraz już było za późno – zło się dokonało. Przez te dwa dni nie zamienili z arystą ani słowa, ale Folino widział i czuł, jak każdy jego ruch i spojrzenie powtarzało w kółko wciąż jedno słowo: „zdrajca”. Co więcej, widział je wypisane na każdym kamieniu; szumiało je każde źdźbło trawy. Kamienie kopał, trawę wyrywał, ale nie pomagało.

– Szybciej – ponaglił tamten.

Patrzcie, jaki rozmowny się zrobił, pomyślał nie bez złości. Sam sobie „szybciej”, ja nie jestem sarną. Ten łobuz zdawał się mieć niewyczerpany zasób sił. Wczoraj oddał mu nawet ostatni łyk wody. Musiał pochodzić ze stepowego szczepu Arystów, który zamieszkiwał te tereny. Ci z gór i terenów północnych, podobnie jak bezerowie, nie znosili upałów.

Odgłos kopyt stawał się coraz wyraźniejszy. Rzucił okiem przez ramię – czarne stożkowe hełmy jeźdźców już wynurzały się ponad wydumą. Rzut oka na głaz, za którym właśnie zniknęła stopa arysty uświadomił mu, że nie zdąży. Zatrzymał się i zgięty w pół oparł dłonie na kolanach i oddychał ciężko, wciągając głęboko do płuc rozpalone powietrze.

Jeźdźcy zatrzymali się na szczycie wydmy. Było ich pięciu. Ubrani byli w bezrękawce kaftany z barwami królestwa Unelii. Dwóch z nich spokojnie ściągnęło łuki z pleców i wzięło go na cel.

Folino nagła myśl uderzyła do głowy. Wyprostował się i zamachał rękami jakby ucieszył się na ich widok.

– Idiota! – usłyszał syknięcie zza głazu.

– Hej, bywaj, do mnie tu! – wydarł się bezer.

Jeźdźcy spojrzeli po sobie pytająco. Jeden z nich, ze skrzydłami u hełmu, dał znak ręką i strzały powędrowały z powrotem do kołczanów. Leniwie zjechali z wydmy, słońce błyszczące na czarnych skórach ich wierzchowców z mięśniami zwijającymi się pod nią jak podrażnione węże. Otoczyli go ciasnym kołem. Skóra żołnierzy była lepka, ciemnozielona z ciemniejszymi pla-

mami i cała pokryta brodawkami. Cuchnęli mułem. Kaptury kolcze z gęstej siatki zasłaniały im szyje i większą część twarzy – jedynie żółte, wąskie oczy pobłyskiwały jak ślepia panter. Tego samego koloru były ślepia wierzchowców, które miały po dwa kły u dolnej szczęki, długie na stopę i zakrzywione jak szable dzika, a także dwa bawole rogi ponad kudłatymi, krótkimi, lecz szerokimi uszami. Jeden z nich próbował ugryźć Folino.

– Dobrze, że przybywacie – skłamał bez mrugnięcia okiem. – Gonię przekłętego arystę, ale już brak mi sił. Schronił się, bestia, tam. – Wskazał palcem na głąz.

– Łżesz jak wąż – warknął dowódca głosem przypominającym mlaskanie gorącego błota. Uniósł ostrze swego krótkiego, szerokiego miecza, którego czubek spoczął w dołku u podstawy szyi Folino. Bezer dopiero teraz zrozumiał, że ma do czynienia z krwiożerczymi demonami z Naig-Urecht – na wespół legendarnego miasta-państwa, leżącego gdzieś w dżunglach dalekiego południa. Zajęło mu to tak długo, bo zawsze śmiał się z tych, którzy w nie wierzyli.

Już po mnie, pomyślał.

– Gdzie tam – rzekł siląc się na obrazę. – Chciałem go złapać, bo był rozkaz, żeby żywcem brać.

Demony spojrzały po sobie. Chyba pierwszy raz słyszały o takim rozkazie.

– A gdzie twoja broń, co? – Nacisk miecza zwiększył się. – Też był rozkaz, żeby bez broni latać?

– Zabierz pan ten kozik, panie oficerze – odparł Folino, bezskutecznie usiłując przełknąć ślinę. – Jak będę się chciał podrapać, to sam poproszę. Koń mu padł, mojego ustrzelił, a miecze pokruszyliśmy w walce. Tak mnie wnerwił, że pogałem za nim i choćbym miał tak biec całe życie, to złapię i łeb ukreczę.

Tu zimny pot spłynął mu po karku. Jeżeli żołnierze podążali ich tropem, to mogli bez trudu poznać się na kłamstwie. Widocznie jednak byli przypadkowym patrolem wysłanym do likwidacji ocalałych z pogromu, a zdrada bezerów była im dobrze znana. Dowódca w swoim języku, który przypominał hukanie bagiennej sowy, wysłał trzech jeźdźców, by pojмали tamtego.

Folino odetchnął z ulgą.

– Uważajcie, chłopcy! – krzyknął za nimi. – To wyjątkowo paskudny arysta.
– Jeżeli łzesz – syknął mu do ucha oficer, a jego oddech cuchnął śniętymi rybami. – To osobiście wbiję cię na pal.

Pocałuj mnie w dupę, pomyślał Folino ze wzrastającą złością. Niby mimochodem zerknął na wierzchowca dowódcy.

Hmm.

– Zobaczymy, co jesteś warty, arysto – rzekł do siebie.

Trzej jeźdźcy zbliżyli się do głazu. Dwóch rozdzieliło się otaczając go, a trzeci stanął na kulbace i z niej uczepił się skały. Zręcznie wspinał się w górę. Kiedy był prawie u celu, a jego kompani zniknęli z oczu, na szczycie jak duch pojawił się arysta. Kawalkiem skały rozbił tamtemu głowę i wyciągnął mu miecz z pochwy, zanim demon zważył się bez jęku z powrotem w dół na grzbiet wierzchowca, który uderzony odskoczył rżąc donośnie. Natychmiast odwrócił się i skoczył znikając z oczu.

Teraz.

Folino jednym szarpnięciem wy dobył zatknięty przy siodle oficera ciężki nadszabek. Ten wznosił miecz, by ukarać zuchwalca, ale w tej samej chwili jego ogier otrzymał potężny kopniak w delikatne miejsce. Oszałałe z bólu zwierzę wierzgnęło i poniosło jeźdźcę. Bezer natychmiast z obrotu uderzył tam, gdzie spodziewał się zastać plecy drugiego demona. Nie zawiódł się – ostrze nadszabka z głuchym chrupnięciem zanurzyło się w zielonym ciele, które zatrzępotało jak postrzelona kuropatwa. Pozwolił martwemu spaść z rumaka, który zarżał głośno, co zabrzmiało jak charkot zarzynanego dzika.

Rzucił okiem na skałę. O ile pamiętał, arysta zeskoczył z niej w prawo, a właśnie z lewej strony wyjeżdżał wolno wierzchowiec. Włókł po ziemi martwe ciało z jedną nogą zaplątaną w strzemionie i z wystającą z piersi strzałą.

Dobrze zabija ten sztywniak, pomyślał z uznaniem. Chwileczkę, lecz co to za tętent?

To oficer zdołał uspokoić swego wierzchowca i teraz gnał na niego jak wiatr, kreśląc mieczem koła ponad głową. Wyraz skoncentrowanej nienawiści w żółtych oczach sprawił, że spodnie bezera mimowolnie zsunęły się w dół o kilka piędzi. Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w te oczy. Uklęknął i szu-

kał broni po omacku – bez skutku. W myślach żegnał się już ze swoją rodziną.

Doszedł do stryjecznej siostry swego kuzyna szwagra. Cień jeźdźca już był o krok, gdy Folino rozpoznał dźwięk, który na moment zagłuszył wszystko. Demon, bez jednego krzyku, zwałił się martwy z wierzchowca tuż za plecami bezera. Upadł w takiej pozycji, że jego dłoń spoczęła na ramieniu Folino, jakby chciał go zaprosić ze sobą do krainy wiecznego snu.

*

Tej nocy od miejsca wspomnianych wypadków dzieliło ich wiele mil. Znaleźli wodę, a z uzbieranych gałęzi drzewa meskite arysta sklecił małe ognisko. Nad bezwonnym i bezdymnym ogniem spokojnie piekł się ustrzelony zając – pomimo niebezpieczeństwa na jedzenie surowizny nie mieli ochoty. Na deser arysta uzbierał owoców kaktusa, którego zwał opuntia. Były bardzo słodkie, a ich sok lepił się jak klej – twierdził, że to z nich wyrabiano cukierki, te same, które zawsze przynosił wujek Sambor, gdy wpadał z wizytą. Mieli też papago, które wyglądały jak grzyby, lecz mniej apetycznie i zachwyty arysty na ich widok był dla Folino co najmniej nie na miejscu.

Żołądek bezera wygrywał najróżniejsze melodie z głodu, a on sam miał ochotę pójść w ślady ich dziwnych wierzchowców, które spętane obok skubały mizerną trawę, nie gardząc przy tym okazjnym świerszczem ani jaszczurką. Zmuszał się, by nie patrzeć na piekące się mięso, od którego zapachu oczy wychodziły mu na wierzch, a ślina strugą spływała po brodzie. Po co się zgodził na to głupie pieczenie? Przecież żołądek bezera poradziłby sobie i z surowizną. Ba, stryjek Pulio często wspominał jak obleżeni w górach Algoru przez pół roku, broniąc się bohatersko, odżywiali się wyłącznie wapienną skałą, przyrządzając ją na sto sposobów. A robili to tak smacznie, że oblegający przysyłali posłów pytając, co to za cudowne zapachy. Obleżenie skończyło się, bo żołnierze wroga zdezerterowali do ich obozu, wybierając niewolę w zamian za szansę skosztowania tych cudownych dań.

Wszyscy powiadali mu, że jego stryjek to łgarz pierwszej wody, ale mały Folino wierzył każdemu słowu. Sam także postanowił zostać bohaterem.